

Egzorcyzmy całkiem współczesne

OPERA | Warszawskie „Diabły z Loudun” są jak thriller, w którym pełna tajemnic akcja splata się z intrygującą muzyką.

JACEK MARCZYŃSKI

Muzykolodzy mają pole do popisu, będą więc skwapliwie wynajdywać różnice między dawnymi „Diablami z Loudun” a obecnymi, bo po prawie 50 latach Krzysztof Penderecki gruntownie je przerobił. Dla zwykłego widza nie są wszakże istotne te porównania. Liczy się fakt, że dzięki premierze Opery Narodowej zyskuje możliwość obcowania z dziełem wielkiej klasy.

Czym są „Diabły z Loudun”? To nie opera, lecz teatr muzyczny, którego akcję orkiestra wspiera w pozornie oszczędny

sposób. Swą grą wciąga jednak widza, bo muzyka Krzysztofa Pendereckiego tworzy nastrój, buduje napięcie. Wywodzi się z tradycji wielkich dramatów Wagnera, choć operuje innymi środkami, ale u obu tych twórców to orkiestra kreuje teatralny świat.

Dobra muzyka inspiruje reżysera, pod warunkiem że potrafi jej słuchać. Brytyczyk Keith Warner nawet znaczenie prostego akordu potrafi wzmocnić gestem lub ruchem śpiewaka. Jakże brakuje tej wrażliwości wielu twórcom współczesnego teatru. Dla Warnera muzyka jest jego przewodnikiem, choć to, jak



♦ Tina Kiberg jako Jeanne, czyli przeorysza matka Joanna

przekłada ją na język scenicznych obrazów, nie zawsze bywa zbieżne z zamysłem kompozytora. Szanuje jego zamiary, ale tworzy własny spektakl.

W inscenizacji „Diabłów z Loudun”, którą Keith Warner przeniósł z Kopenhagi do

Warszawy, jest lekkie odwołanie do zdarzeń, jakie miały miejsce w XVII w. we francuskim mieście, gdzie szatan opętał zakon urszulanek i przeoryszę matkę Joannę. Posłużyło to do ukarania mieszczan zbyt reformatorsko nastawionych wobec władzy, a

zwłaszcza księdza Urbana Grandiera znanego z niepokornych poglądów.

Loudun w tym spektaklu jest zawieszona między XVII w. a współczesnością. To miaśteczko jak z thrillera, operowe Twin Peaks z serialu Lyncha. Każdy mieszkaniec ma swoją tajemnicę, a kolejne zdarzenia zagęszczają atmosferę. Grandier musi zaś stać się ofiarą, gdyż zbytino odbił od zasad, wedle których żyło Loudun.

Uwspółcześnienie akcji sprawia, że w Operze Narodowej można odnaleźć aktualne aluzje do faktów o intymnym życiu kleru, ale „Diabły z Loudun” nie zasługują na tak doraźne ich odczytywanie, zwłaszcza że w nowej wersji wątki religijne zostały nieco stonowane. To utwór o tym, jak zachować godność i jak do końca bronić swoich racji. Być może nie dostrzegamy

tego, gdyż w tym spektaklu Grandier zatracił szlachetność. W bezbarwnym ujęciu Amerykanina Louisa Oteya stał się postacią jednowymiarową, której los nie porusza widzów.

Reszta wykonawców tworzy postaci bardziej zniuansowane: Dunka Tina Kiberg (matka Joanna), Niemka Silja Schindler (Philipope, kochanka Grandiera), a zwłaszcza Krzysztof Szmyt i Robert Gierlach jako aptekarz Adam i chirurg Man-noury. Są pozornie groteskowi, ale groźni, to oni zainicjowali intrygę przeciw Grandierowi.

Reszty dopełnił Brytyczyk Lionel Friend, świetnie prowadzący orkiestrę. Muzyka jest bowiem najważniejsza. A „Diabły z Loudun” okazały się kolejnym utworem Krzysztofa Pendereckiego sprzed lat, który wciąż brzmi oryginalnie, świeżo i nowatorsko. ■